

PROLOG

16 września 2001 r. mieliśmy rozpocząć podróż do Pakistanu. Gromadziliśmy niezbędny sprzęt i wiedzę pomocną w podróży. Zaopatrzyliśmy się w bilety do Lahore, już tydzień wcześniej w pokoju pojawiła się sterta, mająca później wypełnić plecak. Karaczi, Islamabad, Lahore, Gilgit, Skardu; nazwy te stawały się nam coraz bliższe, włóczęga po Karakorum wydawała się być w zasięgu ręki.

Niestety. 11 września miało miejsce wydarzenie brzemiennie w skutki. Tegoż dnia około 15.30, kiedy myślałem już tylko o wyjściu z pracy, umilkła muzyka w radiowej trójce. Zakomunikowano że płonie jeden z nowojorskich drapaczy chmur. Kwadrans później były to już dwa wieżowce i Pentagon w Waszyngtonie. Stało się jasne, że porządek tego świata został zachwiany.

Wielu mędrców okrzyknęło 11 września dniem, w którym zmienił się świat. Każdy myślący człowiek czuł to, kiedy widział na ekranie telewizora makabryczne obrazy z Nowego Jorku i aksjomaty głoszone przez mędrców nie były mu do niczego potrzebne.

Początkowo trudno było wskazać winnych, wkrótce jednak wszystkie ślady skupiły się na osobie Osamy Ibn Ladena, wrogu numer jeden Ameryki. Jako że Osama ukrywał się w Afganistanie, cel naszej podróży - „kraj czystych” stał się nagle punktem newralgicznym. W konflikcie, który miał się lada dzień rozpocząć Pakistan musiał się opowiedzieć po jednej ze stron, a my moglibyśmy przedzierzgnąć się w korespondentów wojennych, a ku temu nie mamy odpowiednich kwalifikacji. Poza tym spokoju nie dawała nam reakcja pakistańskiej ulicy - wszak muzułmanie musieli potępić atak na swych braci w wierze.

Zdecydowaliśmy się wizytę w Pakistanie przełożyć na później, a w tym roku odwiedzić Nepal i Indie. Tak też się stało. Z dwudniowym opóźnieniem (efekt wstrzymanych lotów, po ataku terrorystycznym) 18 września opuściliśmy Warszawę.

18.09.

Pierwszy etap to lot Warszawa-Amsterdam. Na ogromnym amsterdamskim lotnisku odszukaliśmy samolot mający dostarczyć nas do Azji – do Mumbaju w Indiach. Stanęliśmy karnie w kolejce do odprawy, otoczeni przez hindusów. Fakt ten (trójka Europejczyków w otoczeniu hindusów) stał się przyczyną pytań, czy to aby na pewno nasz samolot. Odprawa niemożebnie przedłużała się, przyczynę poznaliśmy gdy przyszła kolej na nas. Otóż z pasażerami przeprowadzano wywiad. Każdy tłumaczył gdzie i kiedy pakował bagaż, w jaki sposób dostał się na lotnisko, czy nikt obcy przypadkiem nic nie wręczał w drodze na lotnisko. Jako że w naszych paszportach sporo było arabskich wiz dodatkowo opowiadaliśmy o wojazach po Syrii i nie tylko. Z godzinnym opóźnieniem wystartowaliśmy do Mumbaju.

Do Indii dotarliśmy kilka minut przed północą 18 września. Na lotnisku wymieniliśmy pieniądze i zarezerwowaliśmy nocleg w najtańszym jaki oferowała tamtejsza informacja turystyczna hotelu. Rezultatem naszych zabiegów w informacji był oczekujący przed lotniskiem taksówkarz z tabliczką „Mr laskowski”, który zawiózł nas do hotelu „Four seasons”.

Gdy tylko wyściubiliśmy nosy poza budynek lotniska uderzyła w nas fala gorąca i niemałej wilgotności, podczas jazdy taksówką nasze narządy powonienia podrażnione zostały specyficznym „zapachem”, narządy wzroku zarejestrowały spory „nieład” panujący przy drodze – WITAJCIE W INDIACH. Hotele, które mijaliśmy przypominały nory i z niepokojem oczekiwaliśmy naszych „czterech pór roku”. Po dotarciu na miejsce przeżyliśmy bardzo miłe zaskoczenie – hotel prezentował się okazale, boje hotelowi przechwycili nasze „garby”, a po orzeźwiająjącym prysznicu o godzinie pierwszej w nocy podjęto nas kolacją w hotelowej restauracji.

Kolacja składa się z ryżu z sosem (vegetarian makhni) i tutejszych chlebków; wszystko bardzo pikantne. Rachunek zostaje podany w miseczce napełnionej anyżkiem, zmieszany z gruboziarnistym cukrem – ziarenka anyżku służą odświeżeniu oddechu po posiłku. Bardzo praktyczny zwyczaj, czy nie warto by go przenieść na europejski grunt?

19.09.

C hłonę Indie. Cały dzień włączymy się po Bombaju. Zaczęliśmy wcześniej rano, po kilku godzinach snu. Opuściliśmy hotel „Four seasons” pozostawiając na przechowanie plecaki i zastrzegając sobie możliwość późniejszego skorzystania z internetu (pół godziny wliczone w cenę pokoju). Zamierzaliśmy przespacerować się na dworzec kolejowy Wiktoria; niestety plan, który posiadaliśmy nie obejmował naszego hoteliku i okolicy, nie potrafiliśmy się odnaleźć. Po godzinie błądzenia uliczkami Bombaju zdecydowaliśmy się na taksówkę. Wystarczyło wyściubić nos poza hotel, aby doznać okropnej indyjskiej biedy. Trudno Europejczykowi uwierzyć w jakich warunkach mogą egzystować ludzie. Przy ulicach ciągną się siedliska stworzone z folii i kartonów, służące za domostwa. Szczególnie dużo tych prowizorycznych budowli znajduje się z wzdłuż przydrożnych kanałów.

Podróż taksówką trwała bitą godzinę i nie był to efekt nieuczciwości taksówkarza, a rozległości miasta. Gdy zatrzymywaliśmy się na skrzyżowaniach byliśmy atakowani przez okrutnie okaleczonych żebraków oraz dzieci usiłujące nam sprzedać czasopisma, książki w języku hindi, breloczki, kłódki, pióra do odkurzania fortepianów i masę innych mniej lub bardziej bezużytecznych przedmiotów. Ostatecznie dotarliśmy na dworzec kolejowy, gdzie bez większych problemów zakupiliśmy bilety do Waranasi (w cenie 365 rupii, sleeper class).

W okolicach dworca znajduje się ogromna ilość małych, schludnych knajpek. W jednej z nich spożyliśmy śniadanie. Tym razem wybór padł na „Palaka Rice” – ryż z warzywami, fantastycznie przyprawiony i bardzo ładnie podany; mój uformowany był w kształt serca, Tomka w kształt diamentu. Właściciel to amator brydża? Śniadanie, które zdołało nasycić trzech mężczyzn kosztowało nas 1,5 dolara. Żyć, nie umierać.

Bez większych problemów poruszamy się po mieście, wałęsamy się nadmorskim (nadoceanicznym?) bulwarem, zahaczmy o bramę Indii, skutecznie spacerujemy bez celu. Centrum Bombaju prezentuje się okazale, pobrytyjskie budowle są śliczne, budynek dworca urzeka swym kształtem.

Do hotelu wracamy naziemnym metrem. Jest kilka linii, wszystkie początek biorą w centrum miasta i promieniście rozchodzą się w kierunku przedmieść. Podróż kosztuje nas zaledwie 15 rupii odbywa się pociągiem II klasy, mocno sponiewieranym przez czas. Współpasażerowie (dostrzegamy podział na wagony dla kobiet i wagony dla mężczyzn)

wydają się być bardzo zdziwieni naszą obecnością. Czyżby biały człowiek nie poruszał się w ten sposób po Bombaju? Wzdłuż torów rozciągają się biedadomy i slumsy. Uchwyty których trzymamy się podczas jazdy kojarzą się nam z hakami rzeźnickimi – jedziemy w wagonie dla bydłatek. Nie ośmieliłem się wyjąć aparatu, aby uwiecznić podróż.

Wysiadamy na stacji „Vile Parle” i próbujemy odnaleźć drogę do hotelu. Hindusi są bardzo życzliwi i chętni do pomocy. Kiedy tylko zrozumieją pytanie o drogę udzielają wyczerpujących informacji – wskazując ręką kierunek mówią „ten minutes”. Dzięki temu po godzinie błędzenia docieramy do hotelu. Wysłałam e-maile z informacją, że żyjemy i ... rozpoczynamy kolejny etap podróży.

Dworzec, pociąg, 1500 kilometrów, 30 godzin. Coby łatwiej było znieść podróż, mając też na uwadze profilaktykę antyamebową, już na dworcu zaczęliśmy się raczyć ginem. Efekty przeszły nasze oczekiwania, w chwili po załadowaniu się na nasze koje i przypięciu łańcuchami naszych „garbów” zasnęliśmy jak niemowlęta. Dzięki temu nie cierpieliśmy w nocy.

20.09.

Dzień bez historii. Męczymy się w hinduskim pociągu. Nie rozumiem fascynacji indyjskimi kolejami. Przed wyjazdem, kiedy rozpatrywaliśmy różne warianty podróży do Pakistanu, grzebałem w sieci i znalazłem wiele stron, gdzie z rozrzewnieniem opisywano podróż indyjską koleją.

Na mnie, dla odmiany, wrażenie robi indyjska kuchnia - ryż przyrządzony na milion pięćset sposobów i przekąski sprzedawane na stacjach kolejowych. Jadamy kulki z ciasta, w środku których znajdują się ziemniaki i inne warzywa, tosty zapiekane w jajku. Smaczne i tanie. Rewelacja.

21.09.

Rankiem dojeżdżamy do Waranasi. Po opuszczeniu dworca, nie zważając na nawoływanie taksówkarzy, riksarzy, przewodników, masażystów, fryzjerów, dealerów marihuany, kobiet w ciąży i debili, ruszamy w poszukiwaniu hoteliku „Relax” w którym rok wcześniej zatrzymali się moi koledzy. Trafiliśmy bez pudła, poprosiliśmy o schłodzenie piwa (Tyskie – piwo z polska), wzięliśmy prysznic,

zakolegowaliśmy się ze współlokatorami bądź, współlokatorkami (to dwie jaszczurki, których płci nie zdołaliśmy ustalić) i ruszyliśmy w miasto.

Korzystając z usług jednego z ogromnej rzeszy motorikszarzy dostaliśmy się nad brzeg Gangesu, w okolice ghaty Dasaswamedeth (ghaty to kamienne schody prowadzące ku rzece). Przespacerowaliśmy się brzegiem świętej rzeki, w wodach której stężenie bakterii kałowych 200 000 razy przekracza dopuszczalne normy (tako rzecze przewodnik Pascala). Nad brzegiem na turystów oczekują, podobnie jak przy dworcu, biznesmeni-masażyści, biznesmeni-przewodnicy itd. Z tym należy się szybko pogodzić i ignorować towarzystwo, inaczej oszaleć można dziękując wszystkim za usługi.

Spacerujemy brzegiem Gangesu, mijamy kolejne ghaty, nepalską świątynię, włączymy się po wąskich i zatłoczonych uliczkach starego miasta. W jednej z uliczek za sprawą uciekających z krzykiem dzieci zwracamy uwagę na postać, która dzieciaki wystraszyła – indywiduum ubrane w czarny strój, z czarną twarzą z ogromnym czerwonym jęzorem i tegoż koloru uszami. Niestety jegomość nie pozwolił się uwiecznić na zdjęciu i czmychnął kiedy zobaczył, że kombinujemy coś z aparatami.

Zapagnęliśmy udać się do świątyni Durga, jako środek transportu obraliśmy dwie riksze. Obrął je właściwie Darek, ponieważ jak na mój gust rikszarze robili mądre miny, ale nie wiedzieli o czym mówimy. Podejrzenia moje były słuszne; miast do Turga Temple ja zostałem zawieszony do ekskluzywnego hotelu, a Tomek z Darkiem, jak się później okazało, na dworzec kolejowy. Zrezygnowałem z usług rikszarza, który sądząc po klasie hotelu do którego zostałem zawieszony cenił mnie wysoko, był jakowoż mądry inaczej. Wybrałem kolejnego drivera i do Durga się dostałem. W pobliżu świątyni natknęliśmy się na siebie; udało nam się tam dotrzeć mimo spisku hinduskich rikszarzy.

Tego dnia wieczorową porą raz jeszcze udaliśmy się nad Ganges. To był drugi i ostatni raz kiedy jechałem w Indiach rikszą. Tym razem zmieniliśmy konfigurację, ja zabrałem się z Tomkiem, tak więc nasz przewoźnik ciągnął około 160 kg. Żał mi się zrobiło chłopiny. Wątki był bardzo, ciągnął nas przez pół miasta i zarobił 2,5 złotego. Kiedyś słyszałem o tym, że kariera zawodowa rikszarza trwa zaledwie kilka lat. Wierzę. Więcej do rikszy, podczas mej podróży, nie wsiadłem.

Ostatecznie dotarliśmy się do ghaty, w okolicach której pali się zwłoki. Turyści mogą obserwować ceremonię wraz z rodziną zmarłego. Zabronione jest fotografowanie. Życzliwy rikszarz snuł opowieści na temat i niekoniecznie na temat. Uświadomił nas między innymi, że nie każdego stać na spalenie bliskiego człowieka – barierą jest koszt drewna, z którego układa

się stos. Biedota jest palona w elektrycznych piecach. Obok nas dymiły zarówno stosi, jak i kominy krematoryjne.

Tegoż wieczora w pobliżu hotelu zakupiliśmy bilet do Katmandu (podróż trwa dwa dni; cena biletu 8 USD, w cenę wliczone śniadanie przed podróżą i hotel na granicy).

22.09.

Ranek okazało się, że warunki przyjazdu jak na Indie komfortowe; jadą wyłącznie turyści, jest ich mniej aniżeli miejsc, można więc rozłożyć się na dwóch siedzeniach. Drogi w Indiach są fatalne, może trudno w to uwierzyć, ale gorsze aniżeli u nas. Dwa autobusy mijają się z trudem. Należy jeszcze dodać ogromne ilości rowerzystów, motocyklistów, rikszarzy, motorikszarzy i ... krów. Klakson to rzecz absolutnie niezbędna, używany jest on przy każdym manewrze wyprzedzania, czy też skrętu. Tego dnia jechaliśmy 9 godzin, jestem przekonany że przez więcej aniżeli połowę tego czasu dźwięk klaksonu umiłał nam podróż. W przewodniku przeczytałem, że na drogach w Indiach w ciągu roku ginie 70 tys. ludzi; w USA „tylko” 43 tys. mimo faktu, że zarejestrowanych jest tam 20 razy więcej pojazdów. Po tym co ujrzały moje piękne oczy jestem w stanie w to uwierzyć.

Przez całą drogę obserwowałem kraj, robiłem masę zdjęć i wszystkiemu się dziwiłem. Prowincja jest równie niezwykła jak miasta.

Tego wieczora dotarliśmy do granicy z Nepalem. Nocleg spędzamy w miasteczku Belahya, w dość okrutnym hoteliku „Guest House Nepal”. Wieczere i „San Miquela” spożywamy na tarasie. Przed podaniem kolacji kelner zamiata śmieci ze stołu. W chwilę potem śmieci znów są. To owady; ogromna armia latającego paskudztwa. W sałatce pomidorowej znajduję mniej więcej 10 sztuk insektów.

W Nepalu ludzie chodzą spać razem z kurami. Przed 22 jesteśmy wyrzuceni z knajpy; rozmowę ze świeżo poznaną belgijską nauczycielką kontynuujemy w holu hotelu. Okazuje się że nie tylko polscy nauczyciele są podle opłacani, ona na trzymiesięczną wyprawę po Azji południowo-wschodniej zbierała kilka lat.

23.09.

Kontynuujemy podróż do Katmandu. Z hoteliku zbiera nas radziecki uaz, na dworcu przesiadamy się w rejsowy autobus nepalski. Dostrzegam różnice dzielące Nepal i Indie – tu jest czystiej, fasady budynków są ładniejsze, ludzie różnią się od hindusów (azjatyckie rysy i ciemna cera czyni Nepalki bardzo atrakcyjnymi kandydatkami na żony). Te dwa kraje różni nawet czas; na granicy należy przesunąć wskazówki zegarków o ... 15 minut. Kilkadziesiąt kilometrów za granicą wjeżdżamy w góry, wspinamy się góorskimi serpentynami, widoki wspaniałe.

Do stolicy Nepalu docieramy około siedemnastej. Już na przedmieściach do autobusu wpadają naganiacze oferujący hotele. Na dworcu nie możemy się od nich opędzić i mimo, że mieliśmy zamiar jechać taksówką na Thamel (turystyczna dzielnica Katmandu pełna hoteli, knajp, sklepów ze sprzętem wspinaczkowym i trekkingowym) i szukać szczęścia sami, dajemy porwać się jednemu z naganiaczy. Jeśli zdecydujemy się na oferowany przez niego hotel taksówka jest gratis, jeśli stwierdzimy, że hotel nas nie satysfakcjonuje, płacimy za transport 60 nepalskich rupii. Hotel niezły, ale bez rewelacji. Szukamy lepszego na własną rękę; wkrótce znajdujemy odpowiednie lokum. Hotel „New Gajur” jest czysty i tani (za pokój płacimy nieco ponad 4 USD).

Miasto mnie oczarowało. Wystarczył jeden wieczorny spacer po Katmandu. Błądząc w uliczkach dzielących dzielnicę Thamel i centralny plac stolicy – Durbar Square co krok natykaliśmy się na świątynie przecudnej urody. Plac Durbar pełen jest niezwykłych, kilkusetletnich budowli, tak odmiennych od tego do czego przywykły oczy Europejczyka. Wracając po kolacji w kierunku hotelu przysłuchujemy się śpiewom dochodzącym z jednej ze świątyń. Atmosfera miasta, piękne niewiasty, hinduskie świątynie, buddyjskie stupy; wszystko to sprawia że zamierzam kiedyś wrócić!

Na Thamelu istnieje ogromna ilość miejsc gdzie można skorzystać z internetu, ceny przystępne – 25 nepalskich rupii za godzinę (1USD = 75 Rupii). W tym roku pierwszy raz korzystam z dobrodziejstwa internetu podczas podróży. Pełen wrażeń, mogę się podzielić emocjami ze znajomymi. Kiedy ja opowiadam czego doznałem przez dzień cały, oni kończą odrabianie pańszczyzny w pracy.

24.09.

O d samego początku pobytu w Nepalu kolega Darek uskarża się na zdrowie. Słabosilny jest, zaniemogło nam biedactwo. Jako, że planujemy trekking w Himalajach zdecydował kurować się w hotelowym łóżku. Tak więc kiedy on odpoczywa; ja z Tomkiem włączymy się i podziwiamy cuda Kotliny Katmandu.

Na dobry początek poznajemy stolicę, przez cały dzień nie wypuszczam przewodnika z rąk. Dzięki temu potrafimy nazwać perełki zdobiące plac Durbar. Podczas pobytu w stolicy często siadywaliśmy na stopniach Maju Deval. Dziewięciostopniowy cokół świątyni Śiwy to bardzo popularne miejsce spotkań, tu byliśmy wielokrotnie mitygowani przez autochtonów oferujących nam sprzedaż haszyszu, trekking w Himalajach, usługi przewodnickie itd.

Tuż obok wznosi się najstarsza na placu budowla, od której nazwę wzięło miasto: Kasthamandap – „drewniany dom”. Jak głosi legenda cała budowla została wykonana z jednego pnia drzewa sal, jest to najstarszy budynek na placu. Wprawdzie trudno jest jednoznacznie stwierdzić, kiedy budowla powstała, można się jedynie domyślać, że miało to miejsce w XII stuleciu. Początkowo był to gmach publiczny, w którym zbierano się w oczekiwaniu na ważniejsze uroczystości, później przekształcił się w świątynię.

Na placu znajduje się Kumali Bahal – siedziba Żywej Bogini (Kumari Devi). Na pocztówkach sprzedawanych w Nepalu często można ujrzyć dziesięcioletnią mniej więcej dziewczynkę, ubraną w bogato zdobiony strój. To jest właśnie Kumari Devi. Wybierana jest ona spośród społeczności Newarów, z osobnej kasty złotników. Kandydatka musi mieć co najmniej cztery lata, nie może wejść jeszcze w okres dojrzewania. Przechodzi ona trzydzieści dwie surowe próby. Wybrana dziewczynka wraz z rodziną przenosi się do Kumari Bahal. Podczas święta Indra Jatra przez trzy dni podróżuje po mieście wielkim świątynnym wozem; po czym udziela błogosławieństwa królowi Nepalu. Kadencja Kumari kończy się wraz z jej pierwszą miesiączką. Ponoć poślubienie kobiety, która pełniła obowiązki bóstwa przynosi nieszczęście.

Jeszcze tylko jedna budowle z placu Durbar nazwę bez pudła - stary pałac królewski (Hanuman Dhoka), pozostałe cudenka muszę wpieryw odnaleźć i pewnie umiejscowić na planie, aby coś mądrego o nich powiedzieć. I to jest kolejny powód dla którego powinienem tam kiedyś wrócić.

Tego dnia po obiedzie odwiedziliśmy także Pashupatinathi - kompleks świątyni ciągnących się po obu stronach rzeki Bagmati. Jako że rzeka ta jest dopływem świętego

Gangesu dokonuje się tu spalania zwłok. Tu w Nepalu, cały proces dzieje się na oczach ciekawskich turystów, wolno również fotografować. Mimo braku ograniczeń i wielu doskonałych okazji nie mogłem zdecydować się na uwiecznienie szczegółów; coś nie pozwalało mi na „odbieranie” zmarłym duszy.

O ile ciekawscy turyści mogą robić fotki podczas palenia zwłok nieodpłatnie, to uwiecznienie się na jednej fotografii ze świętym mężem, których ogromne ilości krążą (a właściwie gromadnie oczekują na frajerów) kosztuje. Widok przedstawiali oni zaiste niezwykły, ale chowali się za murem przed tymi, którzy tak jak my próbowali ich uwiecznić bez należnej opłaty.

25.09.

Dzień ten rozpoczynamy od śniadania w knajpce rekomendowanej przez przewodnik „Lonely Planet” (właściciel umieścił malowaną deskę z informacją o tym przed lokalem; nie mogę zweryfikować tej informacji ponieważ po raz pierwszy podróżuję z przewodnikiem „Pascala”). Po raz pierwszy, i ostatni zarazem, zamówiłem nepalską herbatę. Nim mi ją podano zdążył na niej powstać mleczny kożuch, przypominała nędzne kakao z przyprawami.

Drugie co do wielkości miasto kotliny Katmandu - Patan, zwane „miastem piękna” Lalitpur jest usytuowane zaledwie osiem kilometrów od centrum stolicy. Jak donosi kolorowy plan miasta, będący załącznikiem do biletu wstępu na plac Durbar (200 rupii), to stąd pochodzi wielka liczba utalentowanych artystów i rzemieślników. Centralny plac miasta jest wyjątkowym gęszczem świątyń, między którymi rozlokowały się kramiki oferujące wytwory rąk tutejszych mieszkańców.

Panorama miasta, którą dzień wcześniej podziwialiśmy na pocztówce zakupionej w Katmandu, dziś widnieje nam przed oczami – siedzimy w knajpce, położonej ponad placem, popijamy banana-lassi i długo sycimy wzrok. Patan pozostanie w mej pamięci za sprawą pałacu królewskiego, świątyń Kriszny, i dwunastowiecznej buddyjskiej Złotej Świątyni, gdzie po raz pierwszy ujrzałem „rasowych” mnichów.

Wysłałem kartki do Polski oraz list w niezwykłej piękności kopercie (papier z fragmentami roślin). Miałem obawy o to czy korespondencja dotrze do Polski, jako że tutejsza poczta była to wnęka w ścianie o rozmiarach metr na metr z panią w środku; ponadto

przewodnik ostrzegał że częstą praktyką jest odklejanie znaczków i niszczenie listów. Moje obawy okazały się płonne, wszystko dotarło do adresatów.

W Patanie uzupełniam swą kolekcję nakryć głowy o dziarskie topi, cena niższa aniżeli w Katmandu a jakość, o ile mogę stwierdzić, doskonała.

W porze obiadowej wracamy do hotelu. Zastajemy wzorowy porządek (w hotelu za półtora dolara od osoby pokoje sprzątane są codziennie), brakuje tylko Darka, który wypuścił się na Durbar Square.

Natknęliśmy się na siebie w okolicach Maju Deval i wspólnie udaliśmy się na obiad do pobliskiej knajpki. Średnio raz dziennie jadaliśmy w restauracjach, czy to będąc w Indiach, czy to w Nepalu. Pozycje menu w obu tych krajach zasadniczo nie różniły się od siebie. W obu tych krajach najtańszym posiłkiem był dhal - sos z soczewicy wraz z przyprawami oraz ciabaty, czyli tutejsze pieczywo – placki wyrabiane z mąki i wody, wypiekane na gorącej blasze. Podróżując autobusem, podczas postojów w przydrożnych lokalach można było być pewnym tych dwóch pozycji. Obie składają się na mało wyrefinowany ale zaspakajający głód posiłek. Często zamawialiśmy spring-rolle, znane w Polsce jako sajgonki, w wersji mięsnej i wegetariańskiej, chińskie pierożki (bodaj Mo-Mo), makaron z warzywami i oczywiście ryż podawany na niezliczoną ilość sposobów. Podczas tej podróży nigdy nie miałem sensacji żołądkowych, który nie omijały mnie na Bliskim Wschodzie. Należy jednak wspomnieć że wystrzegałem się mięsa i wody ze źródeł innych aniżeli butelka zakupiona w sklepie. Ceny za posiłki nie szokowały, ale też nie jadaliśmy w renomowanych restauracjach. Jeśli do posiłku zamawialiśmy piwo jego wartość stanowiła około 50% kwoty jaką zostawialiśmy w knajpkach.

Uczciwość wymaga aby wspomnieć o kuracjach antyamebowych, które profilaktycznie co kilka dni przeprowadzaliśmy. Lekarstwem zazwyczaj była lokalna whisky. Produkty azjatyckich gorzelni zadanie swe spełniały nad podziw skutecznie – nie imaly się nas choróbska, ani drobnoustroje; efektem ubocznym przedawkowania leku mógł być mały ból głowy nazajutrz.

26.09.

Darek wciąż nie wyściubia nosa z Katmandu, pomstuje na czym świat stoi, kiedy wracamy rozemocjonowani z naszych dwójkowych bliższych, bądź dalszych wypraw. Dziś damy mu powód do kolejnej porcji narzekań, jako że wizytujemy

trzecie miasto w kotlinie Katmandu – Bhaktapur - miasteczko zwane też Bhadgaon „miastem wielbiących” między XIV a XVI stuleciem stolica całego kraju.

Bhaktapur, leży ponad 20 kilometrów od Katmandu, dlatego też miast motoriksy wybieramy przestronniejszą taksówkę, podróżujemy niczym burzuje (koszt 300 rupii). Aby nasycić oczy cudenkami miasteczka musimy odżałować 10 USD, tyle bowiem kosztuje bilet na plac. Dobrzy z nas ludzie, dlatego też nie kombinując, nie szukając bocznych wejść płacimy (to niepokojący objaw, jeszcze rok, dwa lata temu przewąchałbym bym wszystkie uliczki aby uniknąć opłaty, albo się starzeję, albo zatracam cechy polskiego plecakowca). Usprawiedliwiam się, że moje 10 dolców przeznaczonych zostanie na renowację świątyń, a to cel niezwykle szczytny.

Pierwsze co rzuca nam się w oczy po przekroczeniu bramy na plac Durbar, to posągi dwóch maszkar z ogromną ilością ramion, przyozdobionych naszymi ludzkich głów. Jak informuje nas przewodnik są to straszliwy Bhairaba i równie straszliwa, a może jeszcze straszniejsza (wszak to kobieta) Ugraczandi, zwana też Durgą. Mimo koszarnej opłaty za bilet i koszarnej bóstw witających nas na placu, kontynuujemy nasz marsz.

Oglądamy złotą bramę (ponoć największe dzieło sztuki w kotlinie Katmandu), pałac 55 okien, wejście do świątyni Taledzu Czauk (sama świątynia dostępna tylko dla hindusów, a szkoda bo wejście niezwyklej urody), kolumnę króla Bhupatindry podziwiającego swój pałac, świątynie Watsala Durga, dzwon Taledzu, na dźwięk którego psy szczekają i wyją itd. KOSMOS!!! A był to dopiero początek. Cuda, cudenka, osobliwości, dziwolągi, rarytasy. Pomędzy tym wszystkim przemykały piękne Nepalki i troszkę mniej piękni, za to niezwykle oryginalni Nepalczycy.

Zgłodnieliśmy nieco, bo tylko oczy syciliśmy. Żołądków nie było nam dane niestety nasycić, bo podjęliśmy z Tomkiem decyzję o ograniczeniu wydatków, a knajpy w tym miasteczku dwa i pół raza droższe od tych w Katmandu. Nic to, zwiedzamy dalej. Cieszymy się widokiem pięciopoziomowej świątyni Nyatapola, strzeżonej przez pięć par strażników, z których następna para jest dziesięciokrotnie silniejsza od poprzedników, zerkamy na legendarnych zapaśników Dżajamela i Phattu, słonie, lwy, gryfy, aż wreszcie boginie Baghini i Singhini; podziwiamy najsłynniejsze okno Bhaktapur – okno pawia; a w sklepie muzycznym nabywamy kilka płyt z muzyką nepalską i buddyjską.

Nawet jeśli poruszaliśmy się statecznie i nie biegaliśmy między świątyniami jak dzieci, to ilość i uroda zabytków, niezwykle intensywność doznań sprawiały że żyliśmy w wielkim pędzie. I to jest powód dla którego należy poznawać świat!!

Wracamy do Katmandu, wysprzątane go hotelu i biednego Darka, który wciąż nie czuje się na siłach aby wystartować w góry. Postanowił biedaczysko wydłużyć kurację. Trudno, my mimo że żal ściszał nam serca zakupiliśmy bilety autobusowe do osady w pobliżu parku Chitwan. Następnego dnia pozostawimy kolegę i udamy się pojeździć słonno, bo obserwacja dzikich zwierząt z grzbietu słonia to jedna z atrakcji czekających na nas w Royal Chitwan National Park.

27.09.

O 6.30 wyrusza nasz autobus. Szczęśliwie wskazówki osobnika sprzedającego nam bilet były na tyle precyzyjne, że bez problemów zlokalizowaliśmy miejsce startu i nasz autobus. Jedziemy w towarzystwie turystów. To oznacza, że dotrzemy do celu szybciej – autobus dla turystów nie zatrzymuje się co chwilę i nie zabiera kolejnych pasażerów. Powodem dla którego, każdy autobus, niezależnie od zawartości, czy to lokalnej czy obcej, musi czasem zatrzymać się są wojskowe kontrole. Nie jestem pewien co jest powodem kontroli; może działająca w tym kraju komunistyczna partyzantka? Po kilku godzinach gromadka turystów powiększa się, gdzieś na górskiej drodze, z dala od jakiegokolwiek miasteczka czekało kilkoro ludzi; jak się później okazało dołączyło do nas kilku Polaków.

O 14 dotarliśmy do wsi Suraha, żyjącej z turystów odwiedzających park. Na polance nieopodal, służącej za dworzec autobusowy przywitał nas transparent (informujący o tym, że wizyta nasza zbiegła się w czasie z międzynarodowym dniem turystyki) oraz spora rzesza naganiaczy promujących lokalne hotele i wszelkie atrakcje parku.

Tuż po opuszczeniu autobusu zawarliśmy znajomość z czwórka rodaków, koszulki z napisem „politechnika opolska” i plecaki alpinusa nie pozostawiały wątpliwości co do narodowości. Stworzyliśmy więc sześćioosobową grupkę, wyłowiliśmy pocziwie wyglądającego autochtona, który rosyjskim uazem zawiózł nas do hotelu.

Hotel „Forest Resort” to dwupokojowe schludne domki, w pokojach łóżka z moskitierą i przylegająca do pokoju „kolekcja porcelany” czyli europejska łazienka, cała w kafelkach. Zajmujemy w szóstkę jeden domek, mimo że przewidziano je na cztery osoby; dzięki temu jest to jeden z najtańszych noclegów podczas naszej podróży – 50 nepalskich rupii za osobę.

Hotelarz, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki z poczciwca przeistacza się w krwio pijęcę, roztacza przed nami całą gamę atrakcji czekających na nas w Royal Chitwan National Park, informując za każdym razem szczegółowo o kosztach. Jako, że mieliśmy przed sobą całe popołudnie zdecydowaliśmy się na wizytę w miejscu, gdzie trzymane są rządowe słonie. Właściciel „Forest Resortu” policzył sobie tylko za transport - łaskawca.

Byliśmy przekonani, że za środek transportu posłużą, znana już nam, radziecka terenówka. Zdziwienie nasze było wielkie, kiedy zajechał wóz drabiniasty ciągniony przez dwa byki! Jako że wszystkiego należy w życiu spróbować (prócz ciepłej wódki i tańców ludowych), a w ten sposób jeszcze nie przemierzaliśmy świata wsiedliśmy na wóz. Podróż mimo, że nie najszybsza była po byku. Jeszcze tylko przeprawa czołnem przez rzeczkę i przechadzaliśmy się między zwierzętami. Słonie znudzone, my podziwiamy przyrodę i zwierzęta (w parku Chitwan zrobiłem kilka zdjęć z których jestem rzeczywiście zadowolony), przewodnik zabawia nas rozmową. Sielanka!

Słoń indyjski różni się od afrykańskiego, między innymi, kształtem uszu, zakończeniem trąby, ilością palców u nóg; z wiekiem przybywa mu różowych plam na głowie i trąbie – takimi ciekawostkami raczył nas przewodnik i kierowca naszego byczego rydwanu, w jednej osobie.

Po powrocie do hotelu przystąpiliśmy do ustalenia planu dnia i negocjacji cen za poszczególne przyjemności z hotelarzem. Ten lichwiarz, zdzierus, pijawka i odrzyskóra targował się tak jakby było to być, albo nie być dla jego samego, żony, piętnaściorga dzieci i ogromnej ilości krewnych pozostających na jego utrzymaniu. Ostateczne koszty przedstawiają się następująco: wstęp do parku (poza dyskusją) - 500 rupii, kanoe i kilkugodzinny spacer po dżungli - 400 rupii, trzygodzinna przejażdżka słonno i podziwianie dzikich bestii - kolejne 600 rupii. Majątek!! Musieliśmy się z tym jednakże pogodzić wszak po to odwiedziliśmy Chitwan. Zakończenie negocjacji obie strony przypieczętowały wspólnie wypalonym skrętem, czyli jointem.

28.09.

Dzień zaczynamy o 6 rano. Oczekując na kanoe podziwiam przepływające się przez rzeczkę słonie, przenoszące sterty kilkumetrowych traw rosnących w dżungli oraz cztery rowery i szóstkę ludzi na łodzi przepływającej nieopodal (najładniejsze moje zdjęcie z podróży). Około godziny płyniemy, aby wyjść na brzeg i rozpocząć

przechadzkę po dżungli. Po kilku krokach wszyscy jesteśmy złani potem, niektórzy użerają się z pijawkami, najczęściej oglądanym stworzeniem bożym są owady, zwane przez tuteursów „red leaves” bo w istocie przypominają liście. Dżungla oglądana podczas tej przechadzki nie rzuca mnie na kolana, przypomina dobrze znaną z rowerowych przejażdżek Puszcę Kampinoską. Gdyby nie nosorożec przechadzający się między drzewami (przewodnicy mieli sporo problemów z upilnowaniem nas, ponieważ każdy chciał go uwiecznić na zdjęciu, a bliższy kontakt z tym zwierzęciem bezpieczny nie jest) byłoby bardzo swojsko. Poza „rhino”, którego ponoć niełatwo napotkać szwendając się po dżungli „per pedes”, widzieliśmy gromady antylop, małpy i mnóstwo ptactwa. Więcej szczegółów na temat fauny i flory nie przytoczę, służę jednakże radą jak dostać się na miejsce i rzucić okiem na wszystko osobiście.

Kiedy już kończył się nasz spacer, wracając do hotelu, ujrzałem obrazek, który mnie rozczulił – staruszka jadącego na grzbiecie słonia, a kryjącego się przed słońcem pod parasolem. Pomysł niezły, jako że słońce paliło, a wilgotność znacznie większa niż w Katmandu. Pysznic i częste zmiany bielizny miały się z celem, w chwilę po zabiegu można było go powtarzać.

Nasz apetyt na przejażdżkę na słoniu wzrósł, kiedy ujrzeliśmy dwie panienki zażywające kąpieli wraz ze swymi wierzchowcami. To kolejna atrakcja parku – zabawa w wodzie ze słoniem.

Przed ponowną wizytą w dżungli uzupełniliśmy kalorie w knajpcie, w której stołowaliśmy się podczas dwudniowego pobytu w Chitwan. Dania bardzo smaczne i świeże, jak sądzę od początku przygotowywane tamże, ponieważ aby odczuć rozkosz pierożka MoMo na podniebieniu trzeba czekać 90 minut!!! Jak trzeba to trzeba. Trudno. Czas umilaliśmy sobie pogawędką i buteleczką piwa marki San Miguel.

Tomek i Darek dwa lata przed naszą wspólną eskapadą bawili w Syrii. Wizytując zamek krzyżowców Crac des Chevaliers w rzeczonyj Syrii, natknęli się na rodaków, którzy jednakże nie wzbudzili ich szczególnej sympatii, bo umilali sobie czas siedząc na zamkowych murach, rzucając kamyczkami w owce pasące się poniżej, a pokrzykując sobie przy tym dziarsko. Należałoby w tym miejscu zaznaczyć, że czwórka Polaków, z którymi zajadaliśmy sobie MoMo i popijaliśmy San Miguela, to właśnie ludzie od kamyczków i owieczek z Craca, tyle że już starsi i poważniejsi.

Historyjka ta przypomina mi inne spotkanie... Wieczór na dachu hoteliku w Aleppo, fajka wodna i arbus zażywane w towarzystwie kilku mieszkańców Białegostoku, którzy znaleźli się w tym samym miejscu, w tym samym czasie. Rok później kiedy oczekiwałem na odprawę paszportową przed wylotem do Egiptu, w kolejce pasażerów ujrzałem ludzi, z

którymi tak miło spędzało się czas w syryjskim Aleppo. Nie odmówiliśmy sobie wówczas przyjemności wspólnego powłóczenia się po kraju faraonów. I to jest powód dla którego należy podróżować – niezwykle spotkania!!!!

Mimo długiego oczekiwania na obiad zdążyliśmy na naszego słonia. Okazało się że o tej samej porze, spędza się turystów, wsadza ich na słonie i heja do dżungli. Na grzbiecie każdego zwierzęcia umieszczona jest prosta platforma, o rozmiarach metr na metr. Na tejże platformie w siedzą cztery osoby. Wraz ze mną i Tomkiem na słoniu podróżowała kobieta z Hong-Kongu i adorujący ją Nepalczyk, który rankiem wodził nas po dżungli. Nepalczyk, chcąc zaskarbić sobie względy kobiety, rozglądał się za wszelką zwierzyną, dzięki temu ujrzeliśmy nie tylko kilka nosorożców, dwa krokodyle, ale też rzadkiego tu lamparta.

Kiedy przewodnik słonia dostrzeże nosorożca natychmiast informuje o tym kolegów, wkrótce zwierze otoczone jest przez słonie. Słoń zbliża się do „rhino” na kilka metrów zaledwie, tak że turyści mogą liczyć fałdy na jego zadzie. Otoczony zwierzak odczuwający dyskomfort z powodu zbyt liczego towarzystwa pierzcha i podchody rozpoczynają się na nowo. Cieszymy się jak dzieci obserwując poruszające się w kilkumetrowej trawie nosorożce. Nie żałujemy fortuny wydanej na przejażdżkę.

Tegoż bardzo bogatego we wrażenia dnia wieczorową porą oglądamy pokaz tańców ludowych. Tańczą głównie mężczyźni, często jako rekwizyt stosują różnej długości kije i okładają się nimi. Przyznać trzeba, że potrafią posługiwać się pałkami; po tym co zobaczyłem zalecałbym ostrożność w obcowaniu z Nepalczykami.

29.09.

Powrót do stolicy, do osamotnionego kolegi. Kiedy oczekiwaliśmy na autobus nekani byliśmy przez artystów, pragnących sprzedać nam swe wyroby. Jeden ze Ślżaków, kolega Marek dał się wciągnąć w wymianę zdań z producentem instrumentów muzycznych, zaproponował cenę w jego mniemaniu śmiesznie niską, która jednakże po kilku fochach została przyjęta. W ten sposób Marek stał się właścicielem tandetnie wykonanego działającego jak znane nam skrzypce instrumentu, o dwóch czy też trzech strunach. Potem cały dzionek zmuszeni byliśmy wysłuchiwać Marka, który grać nie bardzo umie, ale za to bardzo lubi.

Około 17 dotarliśmy do Katmandu. Darek podczas naszej nieobecności zasięgnął języka w temacie powrót - dotychczas NorthWest nie wznowił połączeń Delhi-Waszyngton.

Niezbędna będzie wizyta w biurze KLM-u i dogadanie kwestii wylotu. Mimo tego, że pozostało nam jeszcze dwa tygodnie wakacji, jesteśmy zmuszeni zrezygnować z trekingu w Nepalu. Brak czasu.

Tego wieczora integrujemy się ze Ślązakami, którzy za naszą radą zatrzymali się w hotelu „New Gajur”. Zacieśniamy więzy przy użyciu lokalnej whisky „Mont Everest”.

Nie był to dzień szczególnie bogaty w doznania; wiele godzin spędziliśmy w autobusie. Jednakże będąc tysiące kilometrów od domu nawet przejażdżka lokalnym autobusem to doświadczenie niezwykle. Po wąskich nepalskich serpentynach najczęstszym pojazdem transportującym podróżnych są produkowane w Indiach autobusiki z napisem TATA na dziobie. Każdy z nich nadgryziony już zębem czasu, przyozdobiony wizerunkami bóstw, złożonymi w powitalnym geście dłońmi i napisem „namaste” czyli „witaj”, z oponami które nie wiedzą co to bieżnik. W trakcie podróży nie umieramy z pragnienia ani głodu; co kilka godzin zatrzymujemy się w przydrożnych knajpach lepszych bądź gorszych (częściej jednakże gorszych), gdzie zawsze możemy wychylić butelkę znanej wszędzie coca-coli, czy też zaspokoić głód ryżem.

Cóż czeka na mnie w kraju? Szablon! Pobudka; praca, godziny spędzone przed komputerem, w otoczeniu papierów; siłownia bądź teatr; łóżko wciąż w tym samym, dobrze znanym, miejscu. Nuda jak w polskim filmie! I to jest powód dla którego warto podróżować – nawet zwykły dzień w Nepalu jest stokroć bardziej pasjonujący, niż schemat dnia codziennego w Polsce!!

30.09.

Pierwsze co robimy to wizytujemy biuro KLM-u. Mimo niedzieli jest otwarte. Bez problemu załatwiamy kwestię biletów. Dodano nam wewnętrzny przelot Delhi-Mumbaj, data powrotu nie zmieniła się.

Odbieramy zamówione przed wyjazdem do Chitwan khukri, czyli noże Gurków. Staję się właścicielem dwóch niemałych noży; jeden z nich to model aktualnie używanych przez tutejszych policjantów.

Zabieramy Darka, który wydobrzeł do pobliskiego Patanu. Zwiedzamy i dokonujemy zakupów. Są to nasze ostatnie godziny w Nepalu, ewentualny trekking urządzimy w Indiach, nie dbamy więc o wagę plecaków, dlatego też kupujemy przedmioty, które przypominać nam będą ten niezwykle kraj. Nabywam thangkę, czyli tradycyjne buddyjskie malowidło o treści

religijnej, bardzo kunsztownie zdobione, topi czyli tradycyjne męskie nakrycie głowy, maskę, fantastycznie kolorowe koszulki oraz kurtkę z wełny jaka. W efekcie zakupów plecak zwiększa znacznie swoją objętość.

Nabywamy bilety do granicy indyjskiej, w ramach oszczędności kupujemy je na dworcu autobusowym (160 rupii), a nie w pobliskim biurze turystycznym (250 rupii). Od jutra rozpoczynamy podróż w kierunku domu.

01.10.

Taksówkarz wiozący nas na dworzec dziwi się niezmiernie, że żaden z nas mimo słusznego wieku, nie jest dotychczas żonaty. Dwudziestokilku-, czy też trzydziestoletni, Nepalczycy są zazwyczaj otoczeni wianuszkami dzieci. Skoro im to służy..., ja chwalę sobie swą niezależność.

O 7 rano startujemy w kierunku granicy Indii. Tym razem warunki jazdy nieco mniej komfortowe. Tłum ludzi, harmider straszny (jakaś utarczka słowna między tutersami przekształca się w niewielką zadymę), opona pozbawiona bieżnika pęka, zastępuje ją inna, jeszcze bardziej łysa, tyle że bez dziury. Po 10 godzinach docieramy do przejścia granicznego w Sounali. Jako, że pora dość młoda nie zostajemy na granicy, podejmujemy decyzję że udamy się do miejscowości Gorakhpur, która nic interesującego turyście nie oferuje, jest jednak ważnym węzłem kolejowym w Indiach. Kolejny powód dla którego należy podróżować – rano nie wiesz gdzie spędzisz noc!

Autobus do Gorakhpur rusza za godzinę, mamy czas aby coś przekąsić. W pobliskiej knajpce zamawiamy najprostszy posiłek – dhal i ciabaty plus herbata. Godzina aby zjeść tutejszy „fast food” i wypić herbatę - masa czasu!! Tu jednak czas biegnie nieco inaczej niż w Europie, ludzie nigdzie się nie spieszą. Kucharze i kelnerzy również. Szmacciarze nie wyrobili się z herbatą. Musimy biec do autobusu. Zajmujemy miejsca, plecaki za radą kierowcy pakujemy do środka. Kierowcy nie spieszą się również, bo gdzie i po co? Ruszamy z 45 minutowym opóźnieniem, bez herbaty! W autobusie dość tłoczno. Plecaki nie mogą leżeć na siedzeniach, bo te służą do sadowienia pośladek. Trzymamy nasze „garby” w przejściu. Współpasażerowie jednakże są bardzo ruchliwi, wciąż musimy przestawiać bagaże z miejsca na miejsce. Tylko przekroczyliśmy granicę a już klniemy na czym świat stoi. O rzesz wy....

Hindusi mają wyjątkowy dar - potrafią nas w ciągu chwili wyprowadzić z równowagi. Riksarz w Nepalu proponuje swe usługi zazwyczaj raz tylko, po usłyszeniu słówka

„dziękuję” nie ponawia swej oferty, czeka na następnego potencjalnego klienta. Rikszarz indyjski nie zraża się naszym „dziękuję”, jedzie setki metrów za nami i krzyczy. A nóż, widelec zmienimy zdanie?

Przed 22 docieramy do celu – miejscowości Gorakhpur. Lokujemy się w hotelu „Elora”, o którym „Pascal” pisze: „najlepszy ze wszystkich obiektów w rejonie dworca”. Wedle mej skromnej opinii do „obektu” pasowałaby nazwa „El Nora”, brudno nawet jak na hinduskie warunki.

Składamy wizytę na pobliskim dworcu. Jutro wyruszamy do Śimli. Pan w kasie informuje nas, że z biletami nie będzie problemu, możemy nabyć je nazajutrz. Na dworcu koczuje masa ludzi, śpią na dość dużej przestrzeni między kasami a peronami. Niby nic niezwykłego w tym, że ludzie oczekując na pociąg rozkładają się i śpią. Ale dlaczego między nimi spacerują krowy?

Cały dzień spędziliśmy podróżując, miasto w którym przyszło spędzić nam noc niczym nie zachwyca, siąpi deszcz. Na domiar złego tutejsze piwo Turbo Extra Strong (55 rupii butla) okrutne. Dlaczego hindusi ważą tak mocne napitki?

02.10.

Ranek kupujemy bilety do Ambali (podróż do Śimli wymaga dwóch przesiadek). Bilety wzbudziły nasze podejrzenia, nie bardzo orientowaliśmy się, które łóżka są nam przypisane. Raz jeszcze pytamy koleśia w okienku o nasze miejsca – interwencja się przydała, zapisał numer wagonu i jeszcze jeden numer. Z problemami odnaleźliśmy wagon, nie miały one oznakowań zrozumiałych dla Europejczyka.

W wagonie rozpoczęła się heca. Nie potrafiliśmy odnaleźć naszych miejsc. Okazało się, że bilet należy przed wyjazdem potwierdzić, my zrobiliśmy to późno, w efekcie czego mamy tylko jedno łóżko na trzech. Dziki tłum hindusów miał sporo radości, kiedy trzech białych „sahibów” piekliło się próbując wyjaśnić sytuację. Nic to. Jedziemy na jednym łóżku. Szczęśliwie przed wyjazdem zakupiliśmy flaszkę whisky „8 P.M.”, jej zawartość łagodzi nasz ból i pozwala przetrwać najgorsze chwile. Około północy zwalniamy się miejsca i możemy przespać resztę nocy w miarę komfortowo.

03.10.

Kolejny etap podróży to pociąg relacji Ambala – Kalka. Etap znacznie krótszy. Kupujemy bilety, oczekujemy na pociąg. Nadjechał. Przed nami stanął wagon bagażowy, otwarty i najwyraźniej dostępny dla podróżnych. Jako że tym razem podróż miała być krótka, niewiele myśląc rozlokowaliśmy się na podłodze bagażowego. Gdy pociąg ruszał byliśmy w wagonie sami, ale nim opuściliśmy peron nasz wagon zaczął się napępniać hindusami. Dziwna sprawa! W pobliżu następnej stacji hindusi ulatniają się. Zostajemy tylko my i dwóch hinduskich „sadhu”. Wagon bagażowy nie miał komunikacji z innymi, sąsiadującymi wagonami, kontrola biletów był więc niemożliwa. Jechaliśmy w otoczeniu „gapowiczów”.

Oczekując na jedynej stacji pośredniej dzielącej Ambalę i Kalkę wzbudzamy nie lada sensację. Trzech białych złożonych na swych plecakach w towarzystwie dwóch „świętych mężów”. W dalszej drodze nawiązała się nić porozumienia między świętymi a innowiercami. Darek częstował papierosami, Oni zrewanżowali się swoimi bidi, czyli indyjskimi papierosami-skretami, wykonywanymi z liścia (kiedy bidi krążyło między kilkoma palącymi, nie brali oni go do ust, ale zaciskali pięść, umieszczali bidi między palcem wskazującym i środkowym a dym ciągnęli przykładając usta z góry do zagiętego palca wskazującego, uszczelniając pięść drugą dłonią - czyściochy!). Panowie „sadhu” zaproponowali nam również zażycie fioletowych pastylek, ale to mogłoby być nazbyt „wzniosłe” doświadczenie, dlatego też odmówiliśmy. Byłoby fantastycznie, gdyby nie fakt, że panowie święci stawali się coraz bardziej natrętni i zaczęli, z razu nieśmiało z czasem coraz odważniej, dopominać się postawienia im lunchu. To wpłynęło na znaczne ochłodzenie stosunków między nami.

Rozstaliśmy się w Kalce, gdzie sadhu udali się na poszukiwania sponsora, my w kierunku wąskotorówki, która miała nas zawieźć do celu – do stolicy prowincji Himaćal Pradeś, miasteczka Śimla.

Nabyliśmy bilety i ulokowaliśmy się w wagoniku. Jeszcze przed odjazdem dokonaliśmy niegodziwego czynu – daliśmy w łapę konduktorowi. Nasze bilety nie upoważniały nas do zajęcia miejsc, które przypadły nam do gustu. Wedle słów kanara winniśmy dopłacić po 130 rupii do każdego z wcześniej zakupionych biletów (po 43 rupie każdy). Hindus postać chwilkę, po głowie się podrapał i rzekł, że 200 rupii za nas trzech będzie dobrą kwotą. Daliśmy łapówkarzowi, niech ma. Pięć godzin podróży do Simli to był

niezwykle miły dla oka czas, jako że ciuchcia nieustannie wspinała się pod górę, a my podziwialiśmy okoliczności przyrody.

Podróż ze stolicy Nepalu do Śimli była długa i dość męcząca. Przebyliśmy sporo ponad 1500 kilometrów, zasłużyliśmy chyba na odpoczynek. Na stacji w Śimli ignorujemy milcząco usługnych hindusów, którzy oferowali nam wszystkie hotele w mieście. Postanowiliśmy wybrać lokum samodzielnie. Odwiedziliśmy kilka różnych hotelików nim zdecydowaliśmy się osiąść w „Gulmarg”. Pokój trzyosobowy kosztuje nas 10 USD. Drogo ale i ekskluzywnie. Wszystkie mijane hotele były o wiele tańsze. Nic to.

Śimla to zupełnie inne Indie. Od połowy XIX stulecia pełniła rolę letniej stolicy Indii. Anglicy uciekając z rozgrzanych słońcem Kalkuty czy Delhi udawali się do chłodnej, wysokogórskiej Śimli. Zapewne, to za ich sprawą Śimla jest niezwykle czystym i przyjemnym miasteczkiem. Brak tu wałęsających się wszędzie krów, ulice są czyste, co chwila dostrzegałem napisy zabraniające plucia na ulicę (pod karą 50 rupii). Główny deptak miasta rozświetlony neonami, samochody mają zakaz poruszania się po centrum miasta. Pięknie.

04.10.

Tego dnia włączyliśmy się po stolicy stanu Himaćal Pradeś. Miasteczko, jak wspomniałem wyjątkowo czyste, my nie zamierzaliśmy wyściubić nosa poza granice miasta, dlatego też tego dnia zadawaliśmy szyku w koszulkach przyozdobionych polskim godłem.

Obejrzelśmy muzeum stanowe, rezydencję brytyjskiego wicekróla Lorda Dufferina, kościół Jezusowy i świątynię Dżakhu. Największe wrażenie robi Viceregal Lodge, czyli siedziba wicekróla. Budowla znajduje się kilka kilometrów od centrum miasteczka. Każda cegła składająca się na tę sześciopiętrową budowlę została tu dostarczona na grzbietach mułów, jako że podczas budowy nie istniało jeszcze połączenie kolejowe. Obecnie w tej niezwyklej budowli znajduje się uniwersytet.

Kiedy oczekiwaliśmy przed wejściem na teren rezydencji, młoda hinduska zaintrygowana zapewne orłami na naszych piersiach, w wyjątkowo wyszukanej angielszczyźnie zapytała skąd pochodzimy. Nasza odpowiedź była wprawdzie mało wyrafinowana, ale za to bardzo radosna – „from Poland!!!!!!!!!!!!!!”.

Rozczarowani byliśmy wizytą w landrynkowej i zupełnie współczesnej świątyni Dżakhu. Nie dość, że aby to stwierdzić musieliśmy się pół godziny wspinać na wzgórze górujące nad miastem, to jeszcze opędzać się od wyjątkowo wrednych małp, mających względem nas niecne zamiary – złośliwie szczyrzyły zęby, a co odważniejsze jednostki zbliżały się do nas na tyle, że mogły z zębów zrobić użytek.

Wieczorem odwiedziliśmy bazar w Śimli. Moje zainteresowanie wzbudziły bardzo ładnie zdobione kapcie z wielbłądziej skóry. Piękne. Nie było jednak wówczas w moim życiu kobiety, która zasłużyłaby na taki podarunek.

Będąc w Śimli po raz pierwszy usłyszałem, nieodłącznie dotychczas kojarzący się z wakacjami, śpiew muezina. Podczas wcześniejszych wojaży odwiedzałem wyłącznie kraje islamskie, obecnie przebywałem w kraju zdominowanym przez hinduistów, gdzie muzułmanie stanowią najliczniejszą mniejszość religijną. Należy też przypomnieć, że nasza podróż odbywała się w czasie bardzo szczególnym, kiedy to oczy całego świata zwrócone były na Afganistan, jak i sąsiadujący zarówno z Afganistanem i Indiami - Pakistan. Staraliśmy się wsłuchiwać w głos „ulicy”, dotychczas nie dotarł do naszych uszu sygnał o rozpoczęciu amerykańskich nalotów na Talibów, Bazę i Osamę Ibn Ladena, ale kiedy w knajpce zlokalizowanej w pobliżu meczetu spożywaliśmy tego wieczora kolację słyszeliśmy jak tutejsi muzułmanie wyrażają swój sprzeciw przeciw mającym się rozpocząć atakom na ich braci w wierze.

W sterylnie czystej miejscowości, w ekskluzywnym hoteliku uodparnialiśmy się przeciwko amebie. Jak zwykle za lek posłużyła nam lokalna whisky, tym razem był to gatunek najczęściej przez nas spożywany – mianowicie „Bagpiper” czyli swojski Dudziarz (nie mylić z Kobziarzem).

05.10.

Wciąż mamy ochotę powałęsać się po górach, aby zrealizować nasz plan udajemy się do McLeod Gani. Miejscowość ta to przede wszystkim siedziba Rządu Tybetańskiego na Uchodźstwie i rezydencja Jego Świątobliwości Czternastego dalajlamy – Tenzina Giaco, ale również świetny punkt startowy na kilkudniowy trekking.

Do pobliskiej Daramšali podróżowaliśmy autobusem po krętych górskich drogach. Jak sądzę zastosowanie słowa „droga” na określenie podłoża po którym przyszło nam podróżować to spore nadużycie. „Droga” to wstęga, a raczej wstążka, byle jak wylanego asfaltu, wąskiego tak że z trudem mieści się na nim ciężarówka czy autobus. Po obu stronach tej wstążki, w miejscach gdzie to było możliwe, wyjeżdżono zakola – miejsca wyprzedzania, bądź mijania. Nie istnieją żadne zabezpieczenia w postaci barierek, czy słupków; spoglądając z okna autobusu w dół widzimy przepaść. Horror!

Przy drodze kilka razy w oko mi wpadła wielce interesująca reklama piwa, supermocnego oczywiście. Przedstawia ona postać do złudzenia przypominającą imię pana Zagłobę z reklam polskiego Okocimia – postawny jegomość z sumiastym wąsem i sporą brodą, przyodziany w coś czemu bliżej do staropolskiego kontusza, aniżeli do jakiegokolwiek elementu hinduskiej garderoby. W ręku postać dzierży kufel (nigdzie podczas tej podróży nie dostrzegłem takiego wynalazku) z ociekającą pianą. Piwo nazywa się... Godfather.

W tym miejscu pozwolę sobie rozwinąć alkoholową dygresję. W Nepalu bez najmniejszych problemów w kiosku na Thamelu mogliśmy kupić wszelkie rodzaje alkoholu. Poza bardzo porządnym piwem na licencji Tuborga, Karlsberga i San Miguela (nie wiem skąd pochodzi to piwo, ale jest bardzo smaczne), pijaliśmy od czasu do czasu whisky. Najczęściej była to indyjskiej produkcji „Bagpiper” whisky; nigdy natomiast nie poznałem smaku nepalskiej whisky o bardzo kuszącej nazwie „Virgin”. Czy to nie jest wystarczający powód aby wrócić do tej części świata?

W Indiach natomiast mieliśmy gdzieś tam problemy z kupnem alkoholu, zazwyczaj w małych miejscowościach jest tylko jeden sklep dla amatorów humoru w kropelkach. Asortyment i ceny są bardzo różne w każdej prowincji. Na etykietach produktów pojawia się informacja w której z prowincji alkohol ten można dystrybuować. Indyjski „Kingfisher” warto spróbować, jest to piwo z gatunku lżejszych, jako że bardzo wiele widziałem extrastrongów. W obu krajach piwo sprzedaje się w butelkach o pojemności 0,65 litra.

Jadąc autobusem do Daramšali autobus zatrzymał się w pobliżu „monopolu”, pomagier kierowcy pobiegł dokonać zakupu, poza flaszką whisky miał również brązową ciecz zapakowaną w plastikową torebkę. Czyżby i w takiej formie sprzedawano alkohol w Indiach, niestety nie udało mi się tego sprawdzić.

Dziesięciokilometrowy odcinek Daramšala-McLeod Gani pokonujemy taksówką; do celu docieramy po zmroku. Od drzwi pięciu czy siedmiu hoteli odchodzimy z kwitkiem - wszystkie miejsca są zajęte, kiedy zagłąda nam w oczy wizja nocy pod gołym niebem trafiamy do bardzo przyzwoitego „Ashoka Guest House” prowadzonego przez Panią

Tybetankę. W każdym pokoju wywieszony jest regulamin, zabraniający między innymi spożywania alkoholu, co wydaje nam się nieludzkim wprost zakazem. Ogromny pokój z trzema słusznej wielkości łózkami i łazienką kosztuje nas 412 rupii.

Wieczorzamy w knajpce po sąsiedzku, Darek jak zwykle zamawia to co dobrze zna, Tomek i ja testujemy dania tybetańskie – gyathuk i thanthuk. O ile się nie mylę składniki obu są jednakowe – makaron, warzywa, tofu (chyba) i smażone jajko; różnią się one konsystencją – jedno jest polewką, w drugim łyżka stoi.

Tego wieczora nie widzieliśmy zbyt wiele, ale od razu odczuliśmy zupełnie inny, magiczny wręcz, klimat tego miejsca. Znów przenieśliśmy się do zupełnie innego świata; po niewielkiej dawce Indii (Mumbaj, Waranasi); po dniach spędzonych w niezwyklej piękności Nepalu, trafiliśmy do Tybetu. Knajpki, hotele prowadzone są przez Tybetańczyków, wszędzie dostrzegamy flagi tego, okupowanego przez Chiny kraju, napisy „Free Tibet”, portrety Dłajlamy. Poza tym znacznie chłodniej, jesteśmy wysoko w górach.

06.10.

Dzień spędzamy w spacerując po miasteczku będącym siedzibą Dalajlamy i Rządu Tybetańskiego na Uchodźstwie. Odwiedziliśmy kompleks Tsuglaghang, gdzie znajduje się rezydencja Dalajlamy, Namgyal Monastery (klasztor), księgarnia, kawiarnia oraz sama Tsuglaghang, czyli kaplica Centralna, będąca dla rządu tybetańskiego odpowiednikiem Świątyni Jokhang w Lhasa. Kompleks jest skromny, urodą swą nie zniewala; jest to bardzo współczesny zespół budynków. Wraz z nami kompleks zwiedzała grupa młodych hindusek, dla których stanowiliśmy nie lada atrakcję – bardzo często fotografowały się z nami.

Miasteczko McLeod Gani przyciąga bardzo barwną i niemałą gromadę turystów. Niczym niezwykłym są dzieci-kwiaty, żywcem przeniesieni z ameryki lat sześćdziesiątych do dzisiejszych Indii. Na każdej ulicy można zakupić wszelkie atrybuty niezbędne do palenia trawki, jak i sam „materiał”.

Dokonaliśmy wraz z Tomkiem zakupu bardzo kolorowych spodni - Tomka są brązowo-zielone ze spletanymi ze sobą smokami, moje pomarańczowo-brązowe w pijackie wężyki. Jeśli dodamy do tego sprane koszulki, czapeczki typowe dla prowincji i wielkie trekkingowe buty da to obraz może i ciekawy, ale w McLeod Gani mnóstwo jest

wytatuowanych, „uczesanych” w dredy bądź przyozdobionych w rastafariańskie berety interesujących indywiduów. Nie wiem dlaczego tego dnia to właśnie my kilkakrotnie staliśmy się obiektem zainteresowania ze strony wycieczek nastoletnich hindusów płci obojga; może dlatego że byliśmy nielicznymi, którzy wyściubili nosy poza ścisłe centrum.

Po krótkim posiłku regeneracyjnym oglądaliśmy sobie klasztor Dip Tse-Cok Ling, wioskę Bhagsu, nieopodal położony wodospad oraz znajdujące się w obrębie miasteczka McLeod Gani warsztaty rzemieślnicze, gdzie młode Tybetanki dziergają swymi zręcznymi paluszkami piękne dywany.

Jako że postanowiliśmy wyruszyć następnego dnia na trekking zasięgnęliśmy języka w tym temacie, w kilku agencjach trekkingowych. Koszt jednego dnia górskiej łazęgi z tutejszym przewodnikiem to 800 rupii. To dla nas spore pieniądze, dlatego też udaliśmy się do Centrum Turystyki Górskiej, gdzie zakupiliśmy książkę o pobliskich szlakach górskich, a sam autor zaproponował nam czterodniowy szlak. Celem naszym będzie przełęcz Indrahara (4350 m n.p.m.) oraz ewentualnie pobliski szczyt (ponad 4600 m n.p.m.).

W ramach przygotowań zakupujemy 3 bochenki chleba, 4 paczki sera żółtego, czekolady, herbatniki oraz po 4 litry wody na głowę; niewiele ale zamierzaliśmy zrobić tą trasę szybciej, ponadto mieliśmy nadzieję dokonywać drobnych zakupów „na szlaku”.

07.10.

Rozpoczynamy dzień o godzinie 7, podjeżdżamy taksówką do Daramkotu i ruszamy pod górę. Dłuższy postój zaplanowaliśmy w Triundzie, po drodze zatrzymywaliśmy się kilkakrotnie coby ubytki płynów uzupełnić, chociażby w baraku pod tytułem „Restaurant The Best View”. Triund (2875 m n.p.m.) to dwa drewniane budynki, pełniące rolę schroniska, gdzie można przespać się na podłogowych deskach, zjeść dhal z ryżem, napić się coca-coli. Niestety nie można tu wziąć prysznica, jako że wody brak. Rozpościera się stąd piękny widok na Himalaje Zewnętrzne, między innymi na szczyty Kiun i Slab oraz na przełęcz Indrahara - cel naszej wędrówki.

Po krótkiej regeneracji ruszamy w dalszą drogę, noc zamierzamy spędzić w Illaqa Gote, zaledwie 1,5 godziny marszu od Triundu. Tamże zastajemy ostatnie na naszej drodze miejsce gdzie można napić się gorącej herbaty i zjeść gorący posiłek (wybór skromny - dhal z ryżem, albo dhal z ryżem). Miejscem tym jest namiot z brezentu rozpostartego na gałęziach,

umocowanego kamieniami - "Cafe Snow Line". W kawiarni spotykamy Duńczyka, który tego dnia wspiął się na przełęcz prowadzony przez szefa, właściciela i pracownika lokalu w jednej osobie. Cena za eskortę 600 rupii – 36 USD za 1 dzień pracy! W Polsce niejeden chciałby tyle zarabiać! Jesteśmy straszeni trudnościami, liczbą ofiar jakie zabrała przełęcz w ostatnich miesiącach, brakiem jakiegokolwiek oznakowania szlaku (tego obawiamy się najbardziej). Obserwujemy cel naszej wędrówki, bardzo wydaje nam się on odległy, hindus usiłuje nam pokazać trasę którą powinniśmy wybrać. Ryż i sos dhal na blisko 3 tysiącach metrów n.p.m. smakuje rewelacyjnie.

Po kolacji mino wczesnej pory (ok. 19) usiłujemy zasnąć. Nie jest to proste zadanie, jako że śpimy na glebie w rozsypującej się kamiennej chatce o wymiarach 1,5m×1,5m×1,5m. Wejście do domku ma wysokość około 80 cm! Makabra! Nie wiem komu domki, bo jest ich tu kilka, służyły, może pasterzom? Przewracam się z boku na bok (to niełatwa ekwilibrystyka, przy trzech facetach na tak małej przestrzeni), nie spałem, to co najwyżej był bardzo krótki letarg, czy półsen.

08.10.

Obudka o 6 rano. Za śniadanie służy nam suchy chleb, suchy ser i woda; dość skromnie. Ruszamy. Idziemy z garbami w których mamy potrzebne ubrania, śpiwory, alumaty, żywność i po cztery litry wody na głowę. Początkowo idziemy dość swobodnie, mamy przez chwilę problemy z wkroczeniem na szlak. Wkrótce dostrzegamy kopczyki usypane z kamieni, które jak się nam wydaje mają jakieś znaczenie. Niedługo trwało nim zorientowaliśmy się, że są to oznaczenia szlaku, których wedle słów hinduskich znawców gór być nie powinno. Za ich pomocą bez większych problemów odnajdujemy drogę. Każdy z nas utrzymuje własne tempo, prowadzę ja, w nieznaczej odległości za mną porusza się Tomek, pochód zamyka Darek. Słońce rozświetla stok, jest cudownie. Otoczenie sprawia że gdyby nie zmęczenie, które zaczyna nam doskwierać można by śpiewać hymny wychwalające urodę świata.

Odpoczywamy coraz częściej, to efekt sporej już wysokości. Pierwszego dnia na odcinku między McLeod Gani (1770 m n.p.m.), a Illaqa Gote (3350 m n.p.m.) różnica wysokości wyniosła ponad 1500 m, dziś dorzucamy kolejny szybki 1000. Zamierzaliśmy wbiec na przełęcz, okazuje się to niezbyt proste bez przygotowania. Czas ucieka, my

zwalniamy, a góry bardzo szybko są okrywane przez pierzynkę z obłoczków. Wczoraj obserwowaliśmy zjawisko, a życzliwi hindusi przestrzegali nas abyśmy nie tracili czasu i niezależnie od rezultatu o jedenastej zawracali. My ustaliliśmy sobie „deadline” w samo południe.

O jedenastej zostawiamy plecaki, od tej pory każdy niesie tylko butelkę wody i aparat fotograficzny. Drobimy kroczki, często zatrzymujemy się i spoglądamy w górę, wypatrując jakiegoś śladu przełęczy. Nic nie widać, jesteśmy złani potem, w uszach dudni, doskwierać zaczyna opalenizna (głupcy, nie zabezpieczyliśmy się przed słońcem). Zaczynam tracić nadzieję. Kwadrans przed południem spoglądam w górę i nie widzę nic co sygnalizowałyby koniec naszej wędrówki. Zatrzymuje się, chyba muszę głośno przyznać się że brak mi sił, mija mnie Tomek, Darek „zaparkował” na dobre troszkę niżej.

Nadciągają chmury, mam dość wszystkiego. Wraz z Darkiem pokrzykuję na Tomka, który uparcie posuwa się pod górę, nie reagując na nasze coraz barwniejsze nawoływania do powrotu. Kilka minut po południu Tomek wlaźł na tą pieprzoną przełęcz, kiedy rzuciłem okiem w jego kierunku ujrzałem chorągiewkę oznaczającą Indrahara Pass 4350 m n.p.m. O rzesz... Nie ruszałem się z miejsca, gdybym ją ujrzał kwadrans wcześniej wdrapałbym się tam. Tymczasem pojawia się zwycięzca i rozpoczynamy odwrót. Porażka, klapa, klęska! Mam duży niesmak, jeszcze gorzej czuje się Darek – siła wyższa zmusiła go do rezygnacji z włóczęgi po Karakorum, Nepal oglądał z okna hotelowego pokoju i ponadto nie wdrapał się na tą ... przełęcz.

Nic to, nie czas na rozdrapywanie ran. Musimy uciekać obłoczkom i wracać do domku. Po sześciu godzinach wspinaczki schodzimy. Droga w dół to bułka z masłem. Właściwie zbiegamy, zatrzymując się tylko na chwilę przed „Cafe Snow Line”, aby pochwalić się zdobyciem przełęczy (przecież zrobiliśmy to, wprawdzie nie w komplecie, ale za to nie daliśmy zarobić żadnemu hindusowi). Nie zamierzamy spać w chatkach-norach, kontynuujemy marsz. Na ostatnich nogach, po jedenastu godzinach marszu, niespełnieni do końca, docieramy do Triundu.

Tu poruszamy się już bardzo dostojnie, żeby nie powiedzieć sztywno. Na szczęście to tylko krótkie spacerki pomiędzy barakiem, w którym spędzimy noc i namiotem, gdzie młodzi hindusi przyrządzają gorące posiłki i serwują zimną coca-colę. Podczas wieczery, mimowolnie przysłuchujemy się jakiejś audycji radiowej. Głos prowadzącego jest bardzo wzburzony, młodzi hindusi bardzo żywo dyskutują o czymś. Stało się – Stany Zjednoczone wykorzystując pakistańskie lotniska rozpoczęły naloty na Afganistan.

W tym miejscu kilka uwag dotyczących trekkingu w indyjskich Himalajach. Góry są piękne, szlaki dobrze widoczne, turystów niewielu (poza miejscami stosunkowo łatwo dostępnymi takimi jak Triund, gdzie zapędzają się spore hordy hindusów i umilają sobie wieczorny czas śpiewem przy ognisku, kiedy w barakach obok usiłują zasnąć strudzeni wędrowcy). Góry tamże to świetne miejsce dla niezbyt delikatnych a mało wymagających osób bo baza noclegowa reprezentuje bardzo nędzny poziom - w trakcie naszej przebieżki na przełęcz i z powrotem myłem się przy pomocy dwóch wilgotnych chusteczek.

09.10.

Po nocy spędzonej na deskach schroniska w Triundzie wyruszamy w kierunku McLeod Gani. Po rozruszaniu obolałych mięśni spacerek staje się przyjemny; dziewięćdziesiąt minut i docieramy do Daramkotu, gdzie czeka na nas motoriksza do domku, czyli hoteliku „Ashoka Guest House”.

Właścicielka hotelu parsknęła śmiechem na nasz widok; powodem jej radości była gwałtowna zmiana koloru naszej skóry. Nie czuliśmy tego podczas wspinaczki, ale słońce operowało mocno i na efekty nie musieliśmy długo czekać. Kolor zmieniliśmy natychmiast, natomiast w kilka dni później okropnie spękały nam usta. Nie pomogły tajemnicze mikstury kupowane w Delhi, ślady na ustach mieliśmy jeszcze po powrocie do kraju. Powrocie który zbliżał się nieubłaganie, już następnego dnia mieliśmy rozpocząć ostatni etap naszej podróży – McLeod Gani-Delhi.

Tymczasem uzupełnialiśmy kalorie utracone podczas wycieczki w indyjskie Himalaje. W McLeod Gani działa bardzo wiele tybetańskich restauracyjek i knajpek. Sprawdziliśmy potrawy w kilku z nich i nie zadowalaliśmy się już dhalem, ale dogadzaliśmy sobie springrollami (zwanymi u nas sajgonkami), pierożkami Mo-Mo, chowmeinem. Wszystko to popijaliśmy owocowymi lassi (banana-lassi, apple-lassi itp.).

W tym miejscu notatki, sporządzane podczas podróży, łączą się w jedność, nie ma tu już regularnych wieczornego zapisów tego jakie atrakcje przyniósł dzień. Zbyt bliski był termin powrotu do rutyny dnia codziennego w Polsce, straciłem ochotę na roztkliwianie się nad niezwykłością Indii, nad „smaczkami” jakimi przesycona była nasza podróż. Trwała ona jeszcze dni kilka; 10.09. udaliśmy się do stolicy kraju, trzy kolejne dni spędziliśmy tamże,

podziwiając atrakcje Delhi i chłnąc klimat miasta. Oto kilka wyrwanych z kontekstu „slajdów” z tamtych dni:

- Przy głównym wejściu na dworzec kolejowy w New Delhi zaczyna się uliczka Main Bazaar. Jest ona wąska, ma około kilometra długości a turysta-plecakowiec znajdzie tu wszystko czego potrzebuje: mrowie hotelików (wybraliśmy hotel o szumnie brzmiącym tytule „Prince Palace”), jadłodajnie, sklepy i kramy oferujące mydło i powidło – papieroski bidi, wszelkie atrybuty niezbędne palaczowi ziela (sklepek Smoker’s Corner), rzeźby Buddy, konfekcję, pralki. Należy unikać tandetnych wyrobów, szwendających się krów, tabunów żebraków, pomagierów, rikszarzy.
- Hindusi słysząc dialog toczący się między nami prawidłowo określali region z którego pochodzimy – byliśmy dla nich Rosjanami bądź Czechami. Jedynym miejscem w którym bez pudła nas rozpoznano był sklep monopolowy w Delhi. Kiedy przekroczyliśmy próg przywitał nas okrzyk: „Cześć, jak się macie?”.
- Ciepła wódka „Lady Di”, zakupiona w tym sklepie była okrutna.
- Rikszarze w Delhi dostają bakszysz od sklepu, jeśli zdołają zaciągnąć do niego turystów. Przejazdka nawet krótkiego odcinka może odbywać się „na raty”, z kilkoma wizytami w luksusowych sklepach.
- Spacerując w piątek, w porze modłów w pobliżu Wielkiego Meczetu poczuliśmy się troszkę nieswojo. Na bramie meczetu wisiał ogromny transparent z napisem „Stanowczo sprzeciwiamy się barbarzyńskiemu atakowi na Afganistan”, muzułmanie spoglądali na nas z ukosa, nie chcieli handlować z nami perfumami. To był jedyny moment naszej podróży kiedy odczuliśmy bliskość wojny.
- Waga osobowa na lotnisku w Delhi musi być popsuta. Wprawdzie na wydruku podane są wszelkie dane: wzrost 188, waga (w ubraniu i ogromnych trekkingowych butach) 83, ponadto horoskop (szczęśliwe cyferki, dobre rady dotyczące interesów, miłości i zdrowia). To, że jest z nią coś nie tak wnoszę z napisu „YOU ARE FAT”. Może dostosowana jest ona do indyjskich realiów i idealną sylwetką jest sylwetka rikszarza z Waranasi?

EPILOG

Opisane powyżej fakty miały miejsce kilkanaście miesięcy temu. W tym czasie dokonała się w moim życiu mała rewolucja.

Kiedy myślę o kolejnych podróżach wiem na pewno kto będzie mi w nich towarzyszył. W tym bowiem czasie zawróciła mi w głowie, zawładnęła mną całkowicie i bez reszty Kobieta (nie jest to nepalska, a nasza toruńska piękność), która stała się moją Żoną. Oczarowała mnie, wrosła we mnie, stała się kawałkiem mnie. Żałuję że nie mogłem z Nią dzielić radości tego lepszego miesiąca mego życia. Może kiedyś razem opiszemy naszą, wspólną podróż (a może wspólną drogę).

Dziś szanuję szarą codzienną rzeczywistość - wstawanie o tej samej porze, zatłoczony tramwaj wiozący do „fabryki”, te same, wciąż powtarzane czynności. Szanuję to, czego zostałem pozbawiony i czego mi brak. Dziś jako bezrobotny marzę o przejażdżce po dżungli, trekkingu w Himalajach, śpiewie muezina, banana-lassi. Marzyć wolno każdemu. Nawet bezrobotnym!!!

Może nieco sentymentalny ale to już **K O N I E C**